

## 11. Od informatyki do polityki i historii

### Krytyczna dekada lat 80.

Moja emigracja zaczęła się na początku dekady lat 80., którą nazwałbym Dekadą Krytyczną dla świata, ponieważ w tym czasie został obalony komunizm. W sierpniu 1980 r. powstał niezależny związek zawodowy Solidarność, który rozpoczął strajk w Gdańskiej Stoczni. W sierpniu też przyjechaliśmy z Meksyku do Stanów Zjednoczonych już na stałe. Codziennie w amerykańskim dzienniku telewizyjnym oglądaliśmy sceny ze strajkującej Polski, o której było głośno w prasie i w prywatnych rozmowach.

Wypadki w Polsce i regularne reportaże w mediach zainteresowały przeciętnych Amerykanów tym, co się dzieje za Żelazną Kurtyną, a tym samym zmobilizowały amerykańską politykę na rzecz Polski. USA to jakby Rzym III,<sup>7</sup> bardzo dużo krajów zabiega o to, by Amerykanie zainteresowali się ich sprawami i pomogli rozwiązać ich problemy. Kraje te trzymają wysoko opłacanych lobbystów w Waszyngtonie, którzy starają się zająć uwagę amerykańskich polityków sprawami swoich państw. Dzieje się tak wbrew często wyrażanej opinii, że Amerykanie wtrącają się zbyt mocno w nie swoje sprawy. Tak naprawdę, Amerykanów trzeba do tego zmuszać, ponieważ najchętniej zajęli by się tylko swoimi problemami i nie tracili energii ani pieniędzy na politykę zagraniczną. Nawiązuję tu do silnych tendencji w amerykańskiej polityce do izolacjonizmu. Jednak dwie wojny światowe w XX w. zmusiły Amerykę do interwencji i dwukrotnego pokonania Niemiec, inaczej bowiem Niemcy zagroziłyby bytowi Stanów Zjednoczonych. Odtąd USA przeszły od koncepcji polityki obrony do polityki bezpieczeństwa, która polega na tym, że „obrona jest ostatecznością”, i że najpierw trzeba tak pokierować interesami w polityce światowej, aby nigdy do owej „obrony” nie doszło.

Po raz pierwszy termin „bezpieczeństwo narodowe” został zastosowany w 1947 r, kiedy prezydent Harry Truman podpisał akt w sprawie „Bezpieczeństwa Narodowego”. Akt ten dostrzegał „narodowe bezpieczeństwo” w kontekście „światowego bezpieczeństwa”. W ten sposób zadanie „obrony” zostało rozszerzone o zadanie utrzymania „światowego bezpieczeństwa” (Doktryna Trumana).

Po pokonaniu Niemiec i Japonii ta nowa idea bezpieczeństwa Ameryki zdyskredytowała politykę izolacjonizmu i odtąd zaangażowała USA w problemy światowego bezpieczeństwa. Dowodem na to była polityka powstrzymywania komunizmu w świecie w formie Zimnej Wojny. Idea „obrony” zakłada tylko powstrzymanie obcej agresji na własne terytorium, natomiast idea „bezpieczeństwa” oznacza aktywność polityczną poza własnym terytorium w celu antycypowania zagrożenia choćby tylko potencjalnego. Mocarstwo regionalne

---

<sup>7</sup> Rzym I — Cesarstwo Rzymskie, Rzym II — Bizancjum.

szuka bezpieczeństwa regionalnego, a mocarstwo globalne szuka bezpieczeństwa globalnego.

„Bezpieczeństwo” może być zdefiniowane wąsko lub szeroko i jako takie staje się nie tylko zjawiskiem logistycznym, ale i psychologicznym. Np. Prusy w XIX w. były bardzo mocno zmilitaryzowane, ale pomimo tego nie pchały się do wojen tylko stosowały psychologiczne naciski w celu otrzymywania tego, co chciały. W XX i XXI wieku Stany Zjednoczone naśladowały Prusy, ale z innym nieco zbiorem wartości, takich jak demokracja i wolny handel, aby dzięki nim utrzymać pokój światowy, a tym samym swoje bezpieczeństwo i interesy.

„Bezpieczeństwo” jest pojęciem mglistym, ekspansywnym i jest także odzwierciedleniem danego państwa oceny własnej siły albo „siły” swych elit. Np. w przypadku Rosji istnieje sprzeczność między tymi ocenami. „Obrona” jest kierunkiem raczej dokładnego działania, „bezpieczeństwo” jest postawą, często nieprecyzyjną. Obrona” jest stanem fizycznym, a „bezpieczeństwo” jest odczuciem.

Z tej niby „mglistej” postawy wynikają jednak bardzo konkretne wnioski. W XIX i XX w. państwa konkurowały ze sobą przy pomocy instrumentu wojny, a w XXI w. państwa będą, a nawet już konkurują przy pomocy instrumentu bogactwa. Militarne potęgi USA i ZSRR wskutek wyścigu zbrojeń utraciły inicjatywę gospodarczą na rzecz takich państw, jak Japonia, Płd. Korea, Tajwan, czy Singapur, które nie mają ambicji militarnych.

Największym zagrożeniem dla „bezpieczeństwa krajowego” obywateli nie jest obecnie agresja militarna innego państwa, a brak zasobów strategicznych, wzrost zaludnienia, chaotyczna urbanizacja, masowe migracje ludzi w poszukiwaniu pracy (np. imigracja ze Wschodu do Polski), degradacja środowiska, indywidualny i grupowy terroryzm i gospodarcza eksploatacja.

W 1980 r. świat był jeszcze w stanie Zimnej Wojny i bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych było ciągle zagrożone, choć kraj ten jakby przyzwyczaił się do tej wojny i nawet czerpał korzyści z przemysłu zbrojeniowego. Niestety, Polska wtedy znajdowała się w Sowieckim Bloku i była z formalnego punktu widzenia „wrogiem” USA. Polityka polskiej emigracji miała na celu wyzwolenie Polski spod komunizmu poprzez mocniejsze zaangażowanie USA w „Zimną Wojnę” co oznaczałoby trzecią interwencję Stanów Zjednoczonych w Europie w XX w. Polityka ta była kontynuacją polityki Wielkiej Emigracji sprzed 170 lat, która twierdziła, że Polska może odzyskać niepodległość w wyniku przetasowań w światowej polityce i dlatego trzeba mobilizować światowe mocarstwa do rozwiązania dylematu 1000-letniej Polski.

Polska emigracja (*de facto* Ignacy Paderewski) w Ameryce Północnej pozyskała w trakcie I wojny światowej prezydenta Woodrowa Wilsona (1912-20) dla sprawy Polski, a emigracja we Francji (*de facto* Roman Dmowski) zadbała, że przedstawiciele Polski zasiedli przy wielkim stole obrad Konferencji Pokojowej w Wersalu w 1919 r. Po II wojnie światowej polska emigracja, tzw. „londyńska” nie dawała, spokoju Zachodnim Mocarstwom i stale przypominała, że dokąd „Polska jest chora, dotąd Europa będzie chora”. Użyłem tu słów samego bry-

tyjskiego premiera Winstona Churchilla. Jednakże Zachód nie przejmował się zbyt polskim głosem, mówionym z Londynu, coraz bardziej szeptem. Mocarstwo W. Brytanii ulegało stopniowej erozji i teraz „moment gnący” w polityce Zachodu przeniósł się do Waszyngtonu. Aby zainteresować sprawą polską Amerykanów, trzeba było zacząć pukać do drzwi Białego Domu.

Los sprzyjał nam w 1980 r., ponieważ bez nakładów na polskie lobby, amerykańskie media codziennie donosiły o tym, co się dzieje w Polsce. Było to najlepsze lobby i co tu dużo mówić najtańsze. Natomiast drzwi do Białego Domu otwierał Polak, prof. Zbigniew Brzeziński, doradca d/s bezpieczeństwa narodowego przy Jimmy Carterze, prezydencie St. Zjednoczonych. Z. Brzezińskiemu pośrednio podlegał Departament Stanu, Departament Obrony, Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) i wiele innych jeszcze agencji. Choć w Stanach nie ma premiera, to można w umownej formie powiedzieć że, z uwagi na zakres odpowiedzialności, nasz Rodak był „wicepremierem” St. Zjednoczonych. Na tym stanowisku spowodował powstrzymanie wojskowej interwencji sowieckiej w Polsce w grudniu 1981 r., kiedy prezydent Carter ostrzegł Breżniewa, że krok ten spowoduje izolację ZSRR na arenie światowej.

W tym właśnie okresie znalazłem się w St. Zjednoczonych, czyli w najbardziej ciekawym okresie, kiedy decydował się los Polski. Polacy na emigracji, zwłaszcza w USA, poczuli, że coś decydującego zaczyna dziać się w polityce światowej, stąd w zorganizowany i niezorganizowany sposób każdy z nas włączał się do sprawy polskiej i jak tylko umiał działał na jej korzyść. W Polsce wrzała *Solidarność* i jej 10 milionów członków, ale i na Emigracji też wrzało. Zebrania w polonijnych organizacjach nabrały wigoru, a tzw. „Polaków nocne rozmowy” w prywatnych domach przeciągały się często do rana. Czy miały one jakiś skutek na przebieg Zimnej Wojny? Oczywiście, że miały, bowiem podgrzały temperaturę polityczną tak, że Zimna Wojna roztopiła się w niej bez żadnego wystrzału i nawet stłuczenia jednej szyby.

W 1982 r. prezydentem St. Zjednoczonych został już w podeszłym wieku Ronald Reagan, który pamiętał jeszcze maniactwa Lenina, a ponieważ był aktorem, więc miał dar świetnego komunikowania swoich poglądów społeczeństwu. Zarzuca się Reaganowi, że swą politykę sprowadził do kilku uproszczonych idei, że tak naprawdę nie rozumiał o co chodzi w polityce. Uważam jednak, że ten styl Reagana zapewnił mu wielki sukces wygrania Zimnej Wojny i wprowadzenia Amerykanów ponownie na ścieżkę dobrobytu. Wspomniane zarzuty padają z ust intelektualistów, którzy mają dar komplikowania spraw i w rezultacie nie umieją ich rozwiązać, bowiem „kręcą się w kółko”, zagmatwani w ciągłe semantyczne dyskusje i brak jasnego poglądu jak rozwiązać problem. Dlatego intelektualisci są na ogół złymi politykami. Np. prezydent Carter miał doktorat z fizyki atomowej i był znany z komplikowania spraw, a nie ich rozwiązywania. W polityce gospodarczej Reagan głosił tylko dwie idee „małego rządu” i niskich podatków. W stosunkach z ZSRR posłużył się po raz pierwszy w polityce amerykańskiej bronią ideologiczną. Nazwał Sowiety „Imperium Zła”, a ponieważ powiedział to

prezydent największego mocarstwa, każda stacja telewizyjna i gazeta na świecie zaczęła powtarzać tę opinię za nim. Sowietci zostali tym zaskoczeni, zawsze uważali że byli mistrzami propagandy, a teraz Amerykanie ich przejrzeni i zaczęli sami ją uprawiać i ich kompromitować. Te dwa „proste” słowa okazały się nadzwyczaj skuteczne w dalszych walkach w Zimnej Wojnie. Potem doszło wyładowanie niemieckiego studenta w awionetce na Placu Czerwonym w Moskwie, które zdyskredytowało system obronny ZSRR. Na koniec druzgocąca porażka sowieckiej broni w wojnie w Zatoce Perskiej w 1991 r. spowodowała samoczynny rozpad owego „Imperium Zła” w tymże samym roku.

Na marginesie rozważań o stylu Reagana można podać podobny przykład stylu Lecha Wałęsy. W okresie walki *Solidarności* z komuną w PRL, Wałęsa był mistrzem w komunikowaniu w paru słowach swych poglądów. Wszyscy je rozumieci, były dosadne i metaforyczne, od razu zapadały w umysły i mobilizowały do działań. Dzięki temu stylowi komunikowania stał się bezdyskusyjnym liderem Ruchu Odnowy. Miał wokół siebie kilku intelektualistów, jednak którzy nie mieli tego typu zdolności w formułowaniu swych poglądów. Zresztą w III RP nie mają ich do dzisiaj. Inna rzecz, że kiedy L. Wałęsa został prezydentem, trochę przesadzał z zastosowaniem swojego stylu komunikowania. Jego idea, że „jest za, a równocześnie przeciw” spowodowała uruchomienie tzw. „lewej nogi”, co doprowadziło do rozbicia ruchu *Solidarności* i dojścia do władzy neokomunistów i zorganizowania PRL II w 1995 r. L. Wałęsa przeszedł do historii światowej jako anty-Lenin, ale polska historia nie wybaczy Wałęsie — prezydentowi jego strategicznego błędu.

Prezydent Reagan lubił posługiwać się propagandą i pomagającymi mu w tym Polakami. W Białym Domu przyjął amb. PRL R. Spassowskiego, który opuścił placówkę i poprosił o prawo azylu. Przyjmował zresztą wielu Polaków tak z Emigracji jak i z Opozycji w Polsce, a na znak solidarności z Polakami raz zapalił świece w oknach Białego Domu, a za nim zrobili to Amerykanie w swoich domach. W tej sytuacji emigracja polska nabrała nowego wigoru i zaczęła bardzo mocno wpływać na opinię publiczną i rząd USA. Zaczęliśmy pisać do kongresmanów i senatorów, do Białego Domu, do lokalnej prasy i telewizji. Polska stała się synonimem walki z komunizmem.

W dniu 1 września 1989 r. tygodnik TIME podał na okładce dwie znamienne informacje; o 50. rocznicy ataku Niemiec na Polskę i o utworzeniu pierwszego po latach, rządu demokratycznego Tadeusza Mazowieckiego. Na jednej okładce zawarła się ostatnia, półwieczna historia Polski, tak dramatyczna, a zarazem zakończona *happy endem*. Szczyt zaangażowania naszej emigracji przypadł w latach 1998-99, kiedy zasypywaliśmy media i polityków żądaniem przyjęcia Polski do NATO, co nastąpiło dzięki zdecydowanej postawie prezydenta Billa Clintona, czułego na głosy wyborców.

W okresie Stanu Wojennego w omawianej dekadzie, emigracja polska w St. Zjednoczonych wysłała do Polski pomoc rodzinom i znajomym, którą można oszacować na kilka miliardów dolarów. Pomoc ta była w tych trudnych czasach

bardzo potrzebna i pozwoliła skołatany Rodakom przetrwać trudne chwile. Rodacy jakby w „nagrodę” zrewanżowali się ograniczeniem praw obywatelskich Polakom zamieszkającym poza granicami Ojczyzny. Ograniczenia to polegały na wyeliminowaniu nas z drugiej tury głosowania na prezydenta i pozbawienia prawa do odzyskania swojego majątku odebranego przez komunę w kraju. Żeby „utrudnić” przyjazdy Emigrantom do Ojczyzny i ewentualne dochodzenie swych praw, demokratyczna III RP wprowadziła kontrolę paszportów na granicy i ci, którzy urodzili się w Polsce, a nie posługują się polskim paszportem mogą nie zostać wpuszczeni do Ojczyzny. Zaiste, Polak nigdy nie wybaczy temu kto mu przyszedł z pomocą. Polak chyba nie jest przyzwyczajony do normalnego życia, które musi sobie ustawicznie komplikować i potem narzekać na nie. Na dobrą sprawę, gdyby polscy politycy III RP byli wielkiego formatu, to by zmienili konstytucję i dali 10 foteli senatorskich przedstawicielom emigracji. W ten sposób byśmy zostali politycznie zintegrowani i działali na rzecz rozwoju demokracji i wolnego rynku w świecie, w tym na rzecz Polski.

### Czkawka z PRL-u

W dekadzie lat 80. doszło do ostrego przewartościowania postaw Polaków w PRL, co wyraziło się w walce „nowego ze starym”. Oczywiście polska informatyka nie była wolna od tego procesu przewartościowania. Od 1981 r. Polską rządziła junta wojskowa pod wodzą gen. Wojciecha Jaruzelskiego i wszystko wskazywało, że karierowicze muszą podkolorować swoje flagi i dać znać o sobie nowym władzom, bardziej pragmatycznym, no i nie cywilnym. Po przyjeździe do Stanów musiałem znów powrócić do informatyki polskiej, ponieważ w krajowej prasie została rozpętana nagonka przeciwko mnie. Oczywiście miała ona wydźwięk polityczny, związany właśnie z moją emigracją.

Po zlikwidowaniu Krajowego Biura Informatyki, Programu Rozwoju Informatyki, projektów KSI i INFOSTRADY w latach 70., zostały rozbite zespoły projektowe i środowiska zainteresowanych użytkowników i specjalistów. Część z nas wyjechała zagranicę. Krajobraz po bitwie o informatykę w PRL był martwym polem, w którym paradowali „zwycięzcy”, o których już pisałem. W PRL Partia obawiając się ulicznych demonstracji, zawsze miała do dyspozycji „etatowych” demonstrantów, których zadaniem było wejście w tłum i przekrzyczenie liderów, a potem skierowanie pochodu w boczną ulicę i stopniowe go rozproszenie.

Taką rolę „etatowego łamistrójka” (przekrzykiwał innych, a potem nic nie robił) w informatyce w czasach PRL pełnił prof. Władysław Turski, który z pozycji profesora Uniwersytetu Warszawskiego (syn rektora tej uczelni) głosił „uczzone głupstwa” i nawet odstraszał i przestrzegał przed informatyką. Np. wydał książeczkę „Nie samą informatyką”, w PIW 1980, w której uznał za mało prawdopodobne stworzenie globalnej sieci informatycznej i przeciwstawiał się importowi zagranicznego oprogramowania i stosowania międzynarodowej terminologii w informatyce. Była to pośrednia odpowiedź na celowość budowania



INFOSTRAD. W tej „przenikliwej dalekowzroczności” Wł. Turski nie zauważył już tworzącego się Internetu, który wszedł do szerokiego użytku już w następnej dekadzie, a w latach 90. wszedł nawet do masowego użytku. W licznych wywiadach opowiadał się za z informatyzowaniem poczty, a nie gospodarki, z której to sfery Partia wygoniła informatyków w latach 70. W wywiadzie dla POLITYKI „Piramid nie buduje się od góry” (1.XII.1984) pisał; „Mamy w Polsce sporo zupełnie niegłupich programistów” albo że „Dotychczas w Polsce nie potrafiono określić w odniesieniu do informatyki celów zrozumiałych dla społeczeństwa. Polityka państwa w informatyce, jeśli takowa istniała, ograniczała się do sporządzania listy urzędów, które należy wyprodukować(...) Produkowanie sprzętu to nie jest jeszcze informatyka. Informatyka zaczyna się tam, gdzie są zastosowania”. Ta nonszalancja i nieprawda w ocenach prowadziła do dezorientacji społeczeństwa i nadużywania tytułu profesora, od którego wymaga się elementarnej uczciwości w głoszonych sądach, wypowiedzianych z piedestału nauki. Opinie te mogą być złośliwe, nieprzyjemne, to można wybaczyć, ale w swym jądrze powinny być prawdziwe. W. Turski lubuje się w metaforach ale ponieważ nie rozumie projektowania systemów informatycznych, więc używa niewłaściwych porównań. Ażeby zbudować Krajowy System Informatyczny (lub Krajową Infrastrukturę Informatyczną) oparty na INFOSTRADACH trzeba jego założenia najpierw „zbudować od góry” inaczej zostanie stworzony chaos wśród podróżnych, jeżdżących po „autostradach” nigdy nie krzyżujących się.

W okresie kiedy w Polsce zaczęła się Rewolucja Solidarności przeciw reżimowi PRL i junta gen. W. Jaruzelskiego zaczęła zaciskać obrożę na szyi społeczeństwa i jakby idąc w sukurs juncie, kilku utytułowanych matematyków (A. Blikle, L. Łukaszewicz, A. Mazurkiewicz, W. Turski) opublikowało list otwarty do Dyrektora Państwowego Wydawnictwa Ekonomicznego (z dnia 14. I. 1981) w sprawie wydanej mojej książki „INFORMATYKA, Modele Rozwoju i Systemów”, (PWE 1980). List został opublikowany w Życiu Warszawy (nr 32, 9. II. 1981). W swym liście matematycy piszą: „Lektura książki napawa zdumieniem, że tak monstrualne połączenie przedmiotowej niewiedzy, autorskiej nierzetelności i gwałtów zadanych elementarnej kulturze słowa mogło ukazać się drukiem”. „Recenzenci i Wydawca ponoszą odpowiedzialność za zmarnowanie 10 ton papieru”. Aby przypodobać się władzy, było w dobrym stylu zaatakować osobę, która właśnie uciekła na Zachód. W. Turski i jego grupa nie zmarnowała okazji i zaatakowała mnie, który co dopiero poprosił o prawo azylu w St. Zjednoczonych.

W przypadku pisania opinii o książkach, czy projektach istnieje pewna etyka zawodowa, która polega najpierw na ew. krytyce szczegółowych rozwiązań, a potem na uogólnieniu zarzutów. W ramach tej etyki, autor ma prawo do obrony, zwykle dyskusja tego typu ma miejsce na łamach specjalistycznych periodyków, a w przypadku drastycznych sytuacji zostaje przeniesiona na łamy dzienników. Np. w Polsce w 1999 r. była głośna sprawa książki pewnego autora, który głosił, że niemieckie obozy koncentracyjne były wymysłem propagandy. Oczy-

wiście w przypadku tak ewidentnego kłamstwa opinia nie musi być najpierw przedyskutowana w naukowym piśmie historycznym, zanim trafi na łamy dzienników i do telewizji.

Tego typu opinii nie głosiłem w swojej książce, natomiast podałem w niej opis KSI i INFOSTRADY, którą W. Turski mocno zwalczał oraz przedstawiłem dość szeroką historię rozwoju informatyki w świecie, a zwłaszcza w Polsce. Także dość dokładnie sformułowałem dyscyplinę informatyki. W. Turski myślał, że skoro Partia rozbiła KBI i projekty KSI/INFOSTRADY (m.in. przy pomocy jego ocen o „rakowatych systemach”) to już słuch o nich zaginie. M.in. w książce przeanalizowałem porażkę programu budowy komputerów ZAM, którym kierował L. Łukaszewicz, a który uchodził za „genialnego” konstruktora maszyn matematycznych. Nic dziwnego, że obaj panowie wzięli do pomocy dwóch młodszych matematyków, aby zaatakować mnie po linii matematyki. List napisali w parę miesięcy po wydaniu książki i byli tak leniwi, że nie napisali recenzji szczegółowej tylko kilka ogólnych oskarżeń. Taka wówczas w PRL panowała kultura w nauce, same tytuły profesorskie miały gwarantować zasadność opinii. Z tego, co dziś wiemy, w informatyce, posiadanie w PRL takiego tytułu i wypowiadanie hałaśliwych opinii powinno budzić wątpliwości.

Dyrektor PWE, mgr Zbigniew Gajczyk odpisał (list Do Redaktora „Życia” „Proszę o argumenty” 14-15. II. 1981 r.), że „W liście swym występują Panowie z zarzutami najcięższymi z możliwych. Nie przytaczają Panowie argumentów merytorycznych. W tej chwili ustosunkowanie się do zawartych w liście Panów zarzutów i oceny jest po prostu niemożliwe”. W obronę przyszedł mi red. Stefan Bratkowski, który odpisał im „Męstwo spóźnionych na barykady”, (Życie Warszawy 21-22. II. 1981), tytuł najlepiej oddaje sens całego ataku. Oto kiedy gen. W. Jaruzelski otrzymuje pełnię władzy, na „barykady” rwą się owi profesorowie pod wodzą W. Turskiego. Red. Bratkowski pisze w swej wypowiedzi, „Nie jestem całkowicie przekonany, czy list czterech profesorów załatwia sprawę w sposób, który nauka polska uznałaby za zgodny z obyczajami” (...). W życiu naukowym przyjęte jest, o ile mi wiadomo, dokumentować swe opinie, a w obecnej sytuacji, jeśli ma się jakieś osobiste zastrzeżenia do kolegów po fachu, warto je najpierw wnieść przed gremium do tego powołane, czyli Polską Akademię Nauk. Jeśli Panowie uporają się w honorowej drodze przed tym gremium, które insynuacji nie tolerowałoby, wtedy opinię ludzi o nieskazitelnej opinii warto przedstawić szerszej publiczności”... Ze swej strony powiem, że nie pamiętam głosu żadnego z tych Panów, kiedy informatyce przydałoby się było trochę odważnych”... Tak długo milczeć, żeby na koniec wypalić do ...Targowskiego”. Sam odpowiedziałem byłym kolegom w wypowiedzi „O piekle” (Życie Warszawy 3. III. 1981), w którym przedstawiłem motywy tej ohydnej napaści na mnie.

Po tylu reprimendach, owi matematycy wreszcie napisali szersze recenzje w INFORMATYCE (Nr 4. kwiecień 1981) i do pomocy wzięli jeszcze prof. J. Kulikowskiego. W recenzjach zarzucono m.in. 1). Współodpowiedzialność za błędy polityki inwestycyjnej w latach 1976-80, 2). Kolaborację z władzami PRL

w postaci „szkolenia” jej w informatyce, 3). Hamowanie wypowiedzi W. Turskiego na II Kongresie Nauki Polskiej, 4). Opracowanie totalnych planów informatyzacji Polski i to opracowywanych w „Pałacyku Rady Ministrów”. A więc wyszło szydło z worka, Odpowiedziałem im w polemice „Spór o pokolenie” (Życie Warszawy 30.VII.1981 r.). Napisałem m.in. że „Zbyt łatwe awanse, często dynastyczne lub z urzędu dyrektora doprowadzają do tego, że można nawet zostać członkiem PAN-u nie mając za sobą ani jednego całorocznego kursowego wykładu akademickiego. Brak weryfikacji nawet przez studentów prowadzi do takiej sytuacji, że potem tę weryfikację przeprowadza się na oczach pisma codziennego”.

W jesiennym numerze INFORMATKI z 1981 r. wydrukowano moją odpowiedź na recenzję. Zarzuciłem W. Turskiemu, że stosuje technikę wyrywania zdań z kontekstu, której etyczny recenzent nie stosuje. Innym zarzuciłem technikę pisania kłamstw, czyli poruszania spraw, których nie ma w książce. Zarzuciłem im, że nie rozumieją istoty informatyki, która nauką samą w sobie nie jest, ale jest wielką dziedziną ludzkiego działania, w której są także nauki informatyczne. Tak jak jest budownictwo i w nim nauka budownictwa, czy medycyna i w niej nauka medycyny. Moje stanowisko jest świetnie widoczne teraz po 20 latach, kiedy informatyka ze sztuki stała się rzemiosłem. Panowie profesorowie chcieli jednak, aby monopol na informatykę w PRL mieli tylko kapłani nauki, tak jak kiedyś w starożytnym Egipcie. Przyznałem im jedynie rację w wykryciu błędu we wzorze matematycznym, zresztą nie mojego autorstwa, gdzie zamiast znaku funkcji drukarz wpisał znak całki. Poprawka powinna zostać wprowadzona do erraty, ale gdy książkę opublikowano, nie czytałem tzw. szczotek, ponieważ nie było mnie już w kraju. Wprawdzie nie jestem matematykiem, ale na Politechnice miałem piątkę z matematyki, dzięki czemu rozróżniam jeszcze owe dwa znaki.

Najciekawszy w tej sprawie jest dalszy jej przebieg. W myśl sugestii red. St. Bratkowskiego chciałem skierować sprawę do Sądu Koleżeńskiego PAN, ale prof. Zdzisław Kaczmarek, sekretarz naukowy PAN odpisał mi, że nie znajduje do tego podstaw (pismo z dnia 2. VII. 1981). Napisałem w tej sprawie do Sekretarza Generalnego Naczelnej Organizacji Technicznej (NOT), ale list pozostał bez echa. Napisałem także do szefa W. Turskiego, prof. Henryka Samsonowicza, rektora UW. Rektor odpisał mi (list RD-166/81 z dnia 1.IV.1981), że UW nie ma Sądu Koleżeńskiego i że „Wyraża ubolewanie ze sposobu prowadzonej dyskusji, która powinna mieć charakter polemiki merytorycznej, co mogłoby i powinno prowadzić do wzrostu autorytetu tak ważnej w dobie współczesnej gałęzi wiedzy, jaką jest informatyka”. Rektor poradził mi zwrócenie się do Polskiego Towarzystwa Cybernetycznego albo innego w tej sprawie. Zwróciłem się zatem do Polskiego Towarzystwa Informatycznego (PTI), które odpisało mi, że nie mogą skierować sprawy do Sądu Koleżeńskiego, ponieważ nie jestem członkiem tego towarzystwa. Nie mogłem nim być, ponieważ powstało już po moim wyjeździe z kraju. Nie namyślając się zbytnio napisałem podanie o przy-



jęcie mnie do tego PTI. W odpowiedzi, mgr Andrzej Wiśniewski, sekretarz generalny PTI odpisał mi (list PTI/19/82 z dnia 31 lipca 1982 r.), że decyzją Zarządu Głównego PTI z dnia 14 lipca 1982 r. nie zostałem przyjęty w poczet członków PTI i zwrócono mi deklarację wraz z opiniami. Prezesem PTI był wówczas W. Turski, który wołał nie ryzykować sprawy w sądzie koleżeńskim i na wszelki wypadek nie przyjął mnie do tego towarzystwa. Na stanowisko prezesa sądu koleżeńkiego Wł. Turski wstawił A. Mazurkiewicza, który jednak musiałby ustąpić na czas rozpatrywania sprawy przeciw niemu i Turskiemu.

Na zjeździe założycielskim PTI w dniu 23 maja 1981 r. wystąpił Sławek Trautman, który m.in. powiedział, że „PTI musi wyjaśnić sprawę wykończenia Jacka Karpińskiego i napaści „czworga”<sup>8</sup> profesorów na Andrzeja Targowskiego”. Jako jedyny na zjeździe dostał po swym wystąpieniu brawa. Sprawa ta wciąż wisi nad PTI i w dobie „lustracji” ludzi z PRL, towarzystwo to powinno powołać Komisję Pojednania (na wzór tej w Południowej Afryce) i doprowadzić do przeproszenia publicznego ofiar ohydnych napaści przez wymienione tu osoby. Jak widać nie chodzi tu o zemstę, a o podkreślenie braku etyki, przez którą tak Karpiński, jak i ja znaleźliśmy się na emigracji. W ten sposób PTI odpowiedziałoby na apel śp. Prof. Janusza Groszkowskiego o utworzenie sądu nad nieetycznymi pracownikami nauki w PRL-u. Jeżeli wymienione osoby odmówiłyby przeproszenia swych ofiar, wtedy powinna spotkać ich pewnego rodzaju kara.

W związku z tą sprawą dostałem wiele listów od nieznanym mi osób, które potępiły ów atak na mnie. Jak zwykle prof. Władysław Radzikowski, też profesor UW opublikował bardzo pozytywną recenzję książki w „Przeglądzie Organizacji” (w 1981 albo w 1982 r.), gdzie napisał, że „Proponowane przez Autora koncepcje modeli i rozwiązań informatycznych, nowatorskie i oryginalne, tworzą w sumie zręby „podejścia” informatycznego w teorii organizacji i zarządzania, wypełniając istniejącą w naszym kraju lukę teoretyczną”. W innej recenzji autorstwa dr. Aleksandra Osiaka (Ekonomika i Organizacja Pracy nr 1/1981) recenzent pisze, że jest to „Pierwsza w naszej literaturze ekonomicznej pozycja, prezentująca tak szeroki zakres problemów informatycznych, reprezentuje wysoki poziom naukowy i dydaktyczny, a jednocześnie posiada dużą wartość użytkową dla praktyki gospodarczej. Powinna być wykorzystana w procesie kształcenia przez wyższe uczelnie i osoby zainteresowane tą problematyką”. Czyżby owi matematycy znali się na teorii organizacji i zarządzania?

Dostałem także bardzo znamienity list od dr. Stanisława Kamińskiego z Biblioteki Narodowej (nr I-Id-45/81 z dnia 10 marca 1981), w którym pisze, że „Dyskusja o książce mojej budzi zainteresowanie społeczeństwa polskiego, w tym bibliotekarzy”. I że moja książka w dwóch egzemplarzach jest pieczołowicie przechowywana w BN”. Otrzymałem list od jednego adwokata, który

<sup>8</sup> Była to aluzja do „czworga” polityków, którzy w okresie Rewolucji Kulturalnej w Chinach w latach 60. sieli zamęt i wykańczali przeciwników, więzieniami i zsyłkami na prowincję, wyrzucaniem z uniwersytetów, itp.

chciał wytoczyć sprawę owym recenzentom o zniesławienie. Pani mgr Anna Jezierska napisała nawet list otwarty (10. III. 1981) do A. Bliklego dlaczego ten „syn czcigodnego śp. Jerzego Blikle pozwolił się wciągnąć do gry i publikowania na łamach „Życia Warszawy” listów otwartych, które można jedynie nazwać paszkwilami, a z rzeczową, kulturalną krytyką czy polemiką nie mającymi nic wspólnego”. Pani A. Jezierska wezwała go do „honorowego wycofania się z tej wysoce nieetycznej kampanii”. Wezwanie to jest wciąż ważne. A. Blikle nie wycofał się z napaści na mnie, ale za to wycofał się z informatyki, poświęcając się sztuce cukiernictwa, która tak wspaniale od XIX w. jest kultywowana w jego rodzinie. W 1954 r. na maturze w Gimnazjum im. T. Reytana zajądaliśmy się świetnymi pączkami, którymi pan Jerzy Blikle nas poczęstował, z uwagi na to, że jego syn był wówczas uczniem tej samej szkoły. No cóż, na tym wycofaniu się A. Bliklego zyskali smakosze pączków i informatyka.

Dziś W. Turski będzie się tłumaczył, że był bezpartyjnym, ale był to tylko pozór, bowiem był tzw. „bezpartyjnym bolszewikiem”, synem rektora UW z najbardziej kontrowersyjnego okresu, który zapewne nauczył syna jak robić karierę w PRL, czyli jak „iść po trupach” do celu. W gronie starszej profesury, mówiono wtedy o synu „taki mały, a już Turski”.

No cóż, byli koledzy chcieli mnie utopić w piekle PRL-u, nie udało im się to, więc ich mocodawcy wydali na mnie kapturowy wyrok śmierci w drugiej połowie lat 80. Jednak „wszelkie wiadomości o mojej śmierci okazały się przedwczesne”. „Bawiąc się informatycznymi zapalkami” owi matematycy nie spodziewali się, że mogą wywołać taki „pożar” w czyimś życiu. Jeśli chodzi o Jacka Karpińskiego to w moim felietonie „Polacy tysiąclecia” (Gwiazda Polarna 1. I. 2000) napisałem, że w kategorii budowniczych i tytanów zalicza się do pierwszej szóstki najwybitniejszych Polaków. Obok niego wyróżniłem Kazimierza Wielkiego, Hipolita Cegielskiego, Eugeniusza Kwiatkowskiego, Stanisława Rogalskiego-Stanisława Wigurę-Jerzego Drzewieckiego (konstruktorów samolotu RWD) i Halinę Skibniewską (architektura). Na tej liście znaleźli się ci budowniczowie i tytani, którzy w swoim okresie czasu wywarli odpowiedni wpływ na koncepcje społeczne, często tworząc swoje konstrukcje wbrew istniejącym warunkom. J. Karpiński budował swe komputery (K202) wbrew polityce PRL i wbrew tu wymienionym osobom. Czy członkowie PTI mają tego świadomość, z jaką osobistością mieli do czynienia?

## Studium

Mając tyle negatywnego doświadczenia z PRL, po przyjeździe do St. Zjednoczonych siłą rzeczy zainteresowałem się polityką. W PRL polityka wewnątrzkrainowa właściwie nie istniała, bowiem wyznaczały ją kolejne plena Partii i uchwały jej Biura Politycznego. Monopartyjny ustrój PRL i ostra cenzura wykluczały poważną dyskusję i grę polityczną. Natomiast istotą demokracji jest ciągłe ulepszanie ustroju w wyniku owej dyskusji i gry. Nic dziwnego, że po osiedleniu się

w kolebce współczesnej demokracji, momentalnie zainteresowałem się polityką polskiej emigracji, a potem polityką amerykańską i światową.

Polityczna emigracja w USA nie przypomina Wielkiej Emigracji w Paryżu (po Powstaniu Listopadowym), aczkolwiek jest od niej znacznie większa i bardziej zróżnicowana. Ale i kraj ten jest kilkakrotnie większy od Francji. W Paryżu książę Adam Czartoryski miał do swej dyspozycji pałac Hotel Lambert, gdzie polscy emigranci mogli niemal przyjść piechotą, często zbierać się i dyskutować. W St. Zjednoczonych emigranci rozjechali się po tym wielkim i pięknym kraju, osiedlając się tam, gdzie dostali pracę, dlatego kontakty między nami nie są tak łatwe, jak kiedyś były w Paryżu po 1831 r. czy w Londynie po 1945 r. Po II wojnie światowej, w latach 1947-50 ok. 110 tys. politycznych emigrantów osiedliło się w Stanach Zjednoczonych i ok. 47 tys. w Kanadzie. Również w latach 1947-89 emigrację tę powiększyli uchodźcy z PRL (m.in. St. Mikołajczyk, S. Korboński, intelektualisci, m.in. Cz. Miłosz, L. Tyrmand, J. Głowacki,) oraz liczniejsze grupy emigrantów po 1968-69 r. (ok. 20 tys.) i 1981-83 (kilka tysięcy emigracji solidarnościowej). W sumie ok. 200 tys. emigrantów politycznych osiedliło się w Północnej Ameryce.

Emigranci polityczni w St. Zjednoczonych spotkali się z emigracją zarobkową, która zaczęła przybywać do tego kraju od końca XIX w. i którą można oszacować na kilka milionów, z których narodziło się dalsze kilka pokoleń Amerykanów polskiego pochodzenia (tzw. *Polish-American*). Jednak dopiero w 1944 r. emigracja ta zorganizowała się w Kongresie Polonii Amerykańskiej (KPA), który wziął pod swe skrzydła ok. 28 polonijnych organizacji różnego typu. KPA zabiega o reprezentatywny udział Polonii w życiu politycznym USA, propaguje dorobek kulturowy Polski i Polonii, działa na rzecz bliskich związków z krajem. Siedziba KPA znajduje się w Chicago i ma swe oddziały prawie w każdym stanie. Prawdę powiedziawszy do KPA nie garnęła się i nie garnie emigracja polityczna. Z różnych powodów, m.in. z powodu słabszej znajomości języka angielskiego. Emigranci od kilku pokoleń mówią biegle po angielsku i na równi działają z amerykańskimi politykami, którzy zabiegają o ich głosy w wyborach. Ich orientacja jest nastawiona na wewnętrzną politykę amerykańską.

Natomiast emigranci polityczni słabiej mówią po angielsku, z trudem przenikają albo wcale, do środowisk amerykańskich, wolą przebywać w swych zamkniętych kołach kombatanckich i ich orientacja jest skierowana na sprawy Polski. Emigranci polityczni (Ignacy Paderewski i Bronisław Malinowski) już w 1942 r. utworzyli Polski Instytut Sztuki i Nauki w Nowym Jorku, który wprowadzić ma prowadzić prace badawcze, ale tak naprawdę zaczął skupiać wokół siebie emigrantów politycznych. Ci z kolei utworzyli Instytut J. Piłsudskiego w Nowym Jorku, aby bardziej zdecydowanie propagować polską myśl polityczną. W tych instytutach działa elita emigracyjna, która musi wykazać się określonym cenzusem albo dorobkiem, aby zostać przyjętym w poczet członków. Dlatego szerokie rzesze emigrantów politycznych działają w różnego rodzaju kołach i klubach kombatanckich, a także w fundacjach, jak np. Fundacja AK, która



ma na celu przekazanie idei walki podziemnej następnym pokoleniom. Emigracja polityczna działa także na uczelniach, gdzie jako wykładowcy i profesorowie nauk politycznych propagują myśl i historię Europy Centralnej (dawniej zwanej Wschodnią). Obok organizacji kombatancko-politycznych funkcjonują liczne organizacje i kluby środowiskowe, jak unie kredytowe, czy stowarzyszenia techników, wykładowców, aktorów, dziennikarzy, działaczy kultury, harcerzy, górali, itp.

Bardzo ważnym elementem składowym emigracji politycznej jest polska prasa i radio. „Nowy Dziennik” w Nowym Jorku odgrywa tu wiodącą rolę, świetnie redagowany przez red. nac. Bolesława Wierzbiańskiego. Po 1989 r. wigoru politycznego nabrały także takie dzienniki jak „Dziennik Związkowy” w Chicago i „Gwiazda Polarna” ze stanu Wisconsin, która ma zasięg ogólnokrajowy. Do tego dochodzi „Głos Ameryki” i „Wolna Europa”, które były (lub są) skierowane na słuchacza w kraju.

Jak widać z tego krótkiego przeglądu polonijnych organizacji, istnieje wcale dobra infrastruktura, aczkolwiek są duże wątpliwości, co do jej zwartości. Polacy są indywidualistami, tam gdzie jest nas dwóch/dwoje tam są trzy zdania. Nic dziwnego, że nie tylko jest mała współpraca między organizacjami ale także wewnątrz ich istnieją zbyt częste personalne przetasowania. Najgorszym jest jednak bardzo słaba współpraca między różnymi pokoleniami emigracji. Każde jej pokolenie mocno strzeże swojego terytorium i ledwo dopuszcza do niego nowych przybyszy. W ten sposób powielana jest choroba Polaków polegająca na braku kontynuacji swych działań. Każde pokolenie niemal buduje swój dom od nowa, nie tylko w Ojczyźnie, ale i na emigracji.

Kim są emigranci polityczni? Są to w głównej mierze b. wojskowi, którzy w normalnym życiu zawodowym z trudem weszli do amerykańskiej praktyki, gdzie nie osiągnęli wysokich pozycji i związanej z tym praktyki organizowania zespołów, dlatego później w organizacjach polonijnych nie mają praktyki w organizowaniu działalności społecznej, stąd też biorą się liczne personalne konflikty i dreptanie w miejscu. Podobnie do KPA garną się nie ci *Polish-Americans*, którzy weszli na szczyty amerykańskiej polityki czy biznesu. Nie mają oni niezbędnej praktyki w organizowaniu pracy zespołowej i motywowaniu swych członków. Wszyscy spoglądamy na KPA jako lidera Polonii, ale ten nie odwzajemnia się równie życzliwym spojrzeniem na nas. Daje się zauważyć różnica interesów i kultury podejścia do rozwiązywania problemów między emigracją zarobkową, a polityczną.

Oczywiście podobnie jak w polskim państwowym życiu, tak i na emigracji politycznej brakuje nam wielkich liderów, którzy by zintegrowali środowisko i sprawili, że jego członek byłby zadowolony. Syndrom elekcji królów, czyli słabych liderów niestety „zaowocował” na dalsze 428 lat. Jednym z wielkich talentów politycznych na emigracji jest Jan Nowak-Jeziorański, b. dyrektor Radia Wolna Europa. Niestety, działa on w pojedynkę, nawet bardzo skutecznie, stając się instytucją. Po prostu żadna organizacja nie była w stanie sprostać jego

wymaganiom, czy pod względem merytorycznym czy moralnym. Na szczęście został dostrzeżony w III RP, gdzie został odznaczony najwyższym orderem Orła Białego.

Pomimo tej raczej niekorzystnej charakterystyki organizacyjnej politycznej emigracji, w godzinie potrzeby, potrafi ona wyzwolić z siebie energię, która dobrze służyła lub służy polskiej sprawie, o czym już pisałem na wstępie. Już tacy jesteśmy, pracujemy zrywami i mobilizujemy się, kiedy trzeba. To też dobrze i może tak już musi być.

Mało jest przykładów dobrze funkcjonujących emigracji politycznych innych narodów. W zasadzie najlepszym przykładem jest tu żydowska emigracja, która jest dla polskiej emigracji niedościgniona. Jednak inne są nasze źródła. Ponad 2000 lat praktyki żydowskiej sprawy jest 10 razy dłuższym okresem od polskiej sprawy, a co ważniejsze inna jest baza materialna Żydów i Polaków w USA. Ci pierwsi opanowali media i finanse, i mają wielkie środki na swe działania oraz bardzo konserwatywną praktykę religijną, która ich bardzo dyscyplinuje i integruje. Ale, o dziwo nasza polska emigracja w klasyfikacji wszystkich emigracji politycznych, chyba pod względem zorganizowania plasuje się na drugim miejscu po emigracji żydowskiej. Więc nie jest tak źle. Nawet jest jeszcze lepiej, jeśli zważyć, że po 1989 r. emigracja polityczna powinna stopniowo przekształcać się w emigrację kulturową. Chociaż nie za szybko, ponieważ proces transformacji Polski pseudo-komunistycznej w demokratyczną jeszcze się nie skończył i nasza w tym względzie rola także się nie skończyła.

Nowa rola emigracji politycznej w St. Zjednoczonych powinna polegać na transferze nowoczesnej wiedzy i praktyki do Polski oraz powinna być „piersią ojcowską”, do której mogą przyłgnąć politycy z Ojczyzny, którzy albo mają sukces, albo chwilowo przegrali i muszą przyjechać do nas, aby się pochwalić albo wyzalić. Przyjazd do amerykańskiego mocarstwa jest dla polskich polityków tak samo ważny jak przyjazd muzułmanów do Mekki. Polityczną Mekką dla Polaków jest Północna Ameryka. Piszę to z konkretnej obserwacji praktyki polskich polityków, którzy po 1989 r. masowo odwiedzają USA, i to częściej, im większą odnieśli porażkę w kraju. Kluczem do zintegrowania Polonii w świecie jest przyznanie 10 foteli senatorskich jej przedstawicielom. Kiedyś Polonia dbała o zniewoloną Polskę, teraz wolna Polska powinna zadbać o wzmocnienie Polonii. A ta nie będzie jej dłużna.

W tak skomplikowanej sytuacji polskiej emigracji politycznej, nie wywodząc się w zasadzie, z żadnego z jej głównych nurtów, postanowiłem działać w Północno-Amerykańskim Centrum d/s Polskich — STUDIUM. Zostało ono założone przez intelektualistów: Z. Bnińskiego, A. Ehrenkreutza, St. Leję, J. Lerskiego, A. Polcyna, Jerzego Krzyżanowskiego i J. Wojciechowskiego. Był to trudny okres początków powstawania i organizacji opozycji w Polsce, przy jednoczesnym braku zrozumienia tego procesu wśród emigracji i elit politycznych Ameryki Północnej. W tym czasie polskie organizacje na obczyźnie stopniowo ograniczały działalność niepodległościową, koncentrując się na sprawach lokalnych.



Tak się składa, że deklaracja ideowo-programowa *Studium* została uchwalona w Kalamazoo (w domu prof. Stanisława Leji, w mieście gdzie mieszkam) w dniu 14 czerwca 1975 r. Misją *Studium* stała się kontynuacja „misji rządu protestu narodowego”, Tomasza Arciszewskiego (Londyn, 1945), a mianowicie walka polityczna o odzyskanie pełnej wolności i niezawisłości narodu polskiego, przy jednoczesnym prowadzeniu badań polskich zagadnień w kraju i na obczyźnie.

Przystąpiłem do tej organizacji, której misja i zainteresowanie bieżącymi sprawami Polski bardzo mi odpowiadała, nie mówiąc o tym, że centrum *Studium* znajdowało się w sąsiednim mieście Ann Arbor w stanie Michigan, gdzie jest wspaniała *University of Michigan*, który zatrudniał czy zatrudnia wielu polskich profesorów i pracowników badawczych. Podobną organizacją był *Pomost* w Chicago i Detroit, ale jego działalność miała miejsce w miastach dość oddalonych od mojego. Zresztą organizację tę trapiły ostre wewnętrzne konflikty i radykalizm.

W sensie praktycznym, *Studium* skoncentrowało się na działaniach doraźnych, popularyzatorskich i strategicznych. Działania doraźne były prowadzone głównie przez kolejnych prezesów; Andrzeja Ehrenkreutza, Stanisława Bask-Mostwina, Piotra Święckiego, Tomasza Arciszewskiego jr. Najważniejszymi kierunkami pracy była współpraca z rządami USA i Kanady oraz Kongresem Polonii Amerykańskiej i Kongresem Polonii Kanadyjskiej (konsultacje polityczne), współdziałanie z opozycją w Polsce, wydawanie „*Newsletter*” i stałe interwencje w obronie dobrego imienia Polaków w postaci pisanie listów do amerykańskiej prasy.

„*Newsletter*”, wydawany w języku angielskim, był rozsyłany do wielu polityków i dziennikarzy w Ameryce Północnej i stał się ważnym narzędziem informowania opinii publicznej o sprawach polskich i ich właściwej interpretacji. W latach 1986-91 *Studium* wydawało również w języku angielskim historyczno-społeczny kwartalnik „*Studium Papers*”, który był świetnie redagowany przez Marka Krzyżanowskiego. To właśnie *Studium* wydebiło ów sławny, pierwszy milion dolarów dla *Solidarności* i dofinansowało swego czasu wydawanie b. popularnych „Donosów” na Internecie, które docierają do tysięcy Rodaków rozsianych po świecie.

Mózgiem i siłą sprawczą *Studium* był niespożyty prof. Andrzej Ehrenkrautz, który członków głównie potrzebował do płacenia wysokich składek. Pod tym względem nie miał litości dla lekarzy i dentystów, którzy tu bardzo dobrze zarabiają. Mnie jednak czymś innym imponował. Podziwiałem, że w jego rodzinie były cztery generacje ludzi z doktoratami. Dziadek był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, ojciec był rektorem Uniwersytetu Wileńskiego, on sam był profesorem *University of Michigan*, na którym jego syn zrobił doktorat. Matka jego też miała doktorat, ale już jego ojczym, b. premier (1933-34) Janusz Jędrzejewicz, nie miał doktoratu (a podobno nawet i dyplomu uniwersyteckiego). Nie wiem, czy tego typu wykształcenie w rodzinie nie jest rekordem światowym.

Zasługi A. Ehrenkrautza dla sprawy polskiej w Krytycznej Dekadzie są olbrzymie. Nikt mu w tym względzie nie dorównywał, z czego był nawet zadowo-

lony, bowiem nie lubił inicjatyw nie wychodzących od niego. Kiedy zorganizowała się Solidarność wyszedłem z inicjatywą, aby dopiero organizującej się grupie jej doradców zaprenumerować światowe tygodniki (*Economist*, *Business Week*, itp.). Chodziło mi o to, aby doradcy ci wiedzieli, co się dzieje w świecie, bowiem żyli w państwie cenzury i nie mieli pieniędzy na zagraniczną prasę. Moja propozycja bardzo zdenerwowała p. Andrzeja, który polecił mi robienie kopii kserograficznych w bibliotece i ich przesyłanie. Odpowiedziałem, że takie kopie wzbudzą podejrzenia na granicy, podczas gdy oryginały tygodników gospodarczych nie wywołają takich podejrzeń. Nie przekonałem prezesa, który mi mojej inicjatywy nie wybaczył i zrobił mi potem parę przykrości., aczkolwiek robił to z takim urokiem i „lisią chytrą” szalenie czytelną, że nie sposób mieć dziś o to pretensji.

Pan Andrzej miał nie tylko „łatwe” życia ze mną, ale także miał podobne kłopoty ze swą uroczą żoną śp. Blanką (uczestniczką Powstania Warszawskiego), która na publicznych zebraniach, zwykle miała różne zdanie od męża i mocno je podkreślała. Mówiła nawet, że „U nas w rodzinie ludzie się często różnili, ale nigdy nie rozchodzili”. Wiedzieliśmy, o co w tej aluzji chodziło. Oczywiście, że p. Andrzej był na tyle doświadczonym mężem, a jeszcze lepszym politykiem, że nie ośmiewał się polemizować ze swą żoną. Tylko z jego zrezygnowanej twarzy można było sądzić, co myśli o polemice, a *de facto* monologu żony.

Od 1981 r. brałem udział w corocznych zjazdach *Studium*, na których wygłaszałem okolicznościowy referat, np. na sympozjum zorganizowanym przez mój uniwersytet i *Studium* w kwietniu 1981 r. M.in. powiedziałem wtedy, że „Lato robotnicze 1980 r. obnażyło niedojrzałość socjalistycznego systemu, zbudowanego wokół próżni. System przekształcił się z biurokracji zależnej od partii w biurokrację kierującą partią. Polska elita władzy („nomenklatura”) w ślad za wzorem sowieckim — stała się anty-ideologiczna, podobnie jak Lenin, gotowa na każde chwilowe ustępstwo, gwarantujące utrzymanie się przy władzy. Najbardziej poczytną lekturą moskiewskiej elity nie była polityka światowego biznesu, a książka „Ojciec Chrzestny”. Idea i techniki mafii stały się źródłem wiedzy elity. Idea walki klasowej została zastąpiona ideą walki zbrojnej. Rozbudowa sił zbrojnych stała się ambicją i dumą elity. W tym mocarstwie od 20 lat rośnie śmiertelność niemowląt (rekord światowy) i pomimo upływu 20 dalszych lat, uwagi te są wciąż aktualne dla Rosji. Sowiecko-polska elita władzy nadal nie wytworzyła metody sukcesji władzy, choć już nie zabija przeciwników lub ludzi niewygodnych. Elita nie zaakceptowała Wałęsy jako partnera. Wałęsy nie traktuje się za przeciwnika Kani, a za wroga Breżniewa, anty-Lenina. Strajk w Stoczni Gdańskiej okazał się działającą bronią robotników, ale nie jest działem artyleryjskim. Dlatego polska elita władzy uważa, że da sobie z tym radę. Tego typu uwagi wypowiedziałem, ponieważ spośród wszystkich uczestników konferencji najlepiej, bo z własnej autopsji, znałem warunki funkcjonowania PRL-u.

Najważniejsze było to, że amerykańscy uczestnicy konferencji z powagą zgodzili się, że ponownie historia Polski kształtuje historię świata. Polscy uczestni-

cy spotkania podkreślili, że polityka prania mózgów Polaków skończyła się wreszcie wielką klęską. Czas konferencji nie mógł być bardziej aktualny, zbiegł się z doniesieniami o ponownym pogotowiu inwazyjnym w Pakcie Warszawskim. Konferencja cieszyła się dużym zainteresowaniem słuchaczy oraz lokalnej telewizji. Wziął w niej udział nawet prezydent mojego uniwersytetu, który kupił od nas znaczek *Solidarności* i poprosił mnie o jego przypięcie do jego kłapy marynarki. Poczułem się wtedy bardzo ważny, ale tylko na bardzo krótko.

W dniu 25 lipca 1981 r. odbyło się bardzo podniosłe zebranie *Studium* w „Domku” pani Ewy Gierat w Bethlehem, w stanie Connecticut. Pani Ewa wszystkiego doglądała, nawet pomagała (i poprawiała) przy mszy odprawianej przez ks. Hlonda w przepięknej scenerii ogrodu, na świeżym powietrzu. Obrady odbywały się w czasie sesji po polsku i potem po angielsku. Referaty wygłosili m.in. prof. Jerzy Wojciechowski (*University of Ottawa*), prof. Andrzej Kawczak (*Concordia University z Montrealu*), prof. Jerzy Lerski (*University of San Francisco*) oraz ja z *Western Michigan University*. Obradom przewodniczył prof. Jerzy Krzyżanowski (*Ohio State University*). Mój referat był na temat „Polska gospodarka w następnych 50 latach”. W obradach uczestniczył przybyły z Polski działacz *Solidarności* Jan Lityński, wówczas młodziwiec, a dziś dystyngowany poseł do Sejmu. Nikt wówczas nie przypuszczał, że za 9 lat PRL upadnie. Wprawdzie tylko Leszek Moczulski był o tym święcie przekonany, co wyraził w swej książce „Rewolucja bez rewolucji”. Wtedy jednak nikt tych przepowiedni nie brał na poważnie. W swym referacie powiedziałem, że „polska dyktatura polityczna partii musi dopuścić gospodarkę rynkową, coś na wzór modelu komunistycznych Chin w XXI w. inaczej gospodarka zawali się i Polacy będą cierpieć nędzę”. Oczywiście wspomniany model chiński jeszcze nie funkcjonował, wprowadzono go dopiero po upadku ZSRR w 1991 r. Na tym spotkaniu wyróżniał się swą energią działania i dyskusowania Andre Błaszczyński, który zorganizował coś w rodzaju kół przyjaciół *Solidarności* w kilku państwach. Na spotkaniu tym pani Ewa przedstawiła nam ostatnich uciekinierów z PRL, rodzinę męża Zbigniewa i Grażynę Gajdów, którym życzyliśmy powodzenia w Ameryce.

Przy okazji warto powiedzieć kilka słów o samej pani Ewie Gierat, która ze swego *Domku* uczyniła prawdziwą przystań a nawet polonijną instytucję. W jej *Domku* odbyło się 20 corocznych spotkań polonijnych, począwszy do 1971 r. Pani Ewa była żoną śp. Stanisława, polityka, którego pamięć podtrzymuje w książce „Stach z Kozłowa — życie i działalność Stanisława Gierata 1903-1977”. Przez jej *Dom* przewinęła się niemal cała elita Polonii, począwszy od Melchiora Wańkowicza. Jest bardzo świadoma przemijania swojej generacji emigracyjnej i wszystko robi, aby ślad o niej nie zginął. Kompletuje księgi gości, listy, programy zebrań i przekazuje je do archiwum *Central Connecticut State University* w New Britain. Róża Nowotarska w *Nowojorskim Przeglądzie* (4. VI. 1999) napisała o niej, że „Wszędzie wtyka swe trzy grosze i nie może usiedzieć na jednym miejscu”. Prócz działania w *Studium* p. Ewa najwięcej czasu chyba poświęca polskiemu harcerstwu w Ameryce i wysyłaniu paczek do Polski. I tak czasem nie wiem czy

*Domek* funkcjonował przy *Studium* czy czasem nie było odwrotnie. Byłem w jej *Domku* kilka razy i zawsze byłem pod dużym wrażeniem jego unikalności i szlachetnych intencji Gospodyni. W 1983 r. bardzo uroczyście obchodziliśmy w *Domku* 300-lecie zwycięstwa Polskiego oręża nad Turkami pod Wiedniem. Wówczas Ewa Gierat była dla nas uosobieniem Jana Sobieskiego, była bowiem mistrzem ceremonii, tworząc bardzo podniosłą atmosferę. Myślę, że *Domek* był bardzo silnym filarem Gmachu polskiej emigracji w USA.

Szczyt działania *Studium* przypadł na okres walki *Solidarności* z reżimem PRL. Rozwinęliśmy wtedy ściśle kontakty z Zagranicznym Biurem *Solidarności* w Brukseli. Jego szef dr Jerzy Milewski i jego prawa ręka Jolanta Pilarska przyjeżdżali na nasze zjazdy i nawet byli w moim miescie w Kalamazoo. Kiedy Lech Wałęsa zaczął przyjeżdżać do St. Zjednoczonych, jego tłumaczką została ofiarna działaczka *Studium* p. Elżbieta Wasiutyńska, matka 5-ciorga dzieci (obecnie ma 7-mioro). Jej matką była p. Maria „Dzidzia” Zdanowicz (z d. Wyganowska), amazonka, żona jednego z dowódców Narodowych Sił Zbrojnych — płk. Leonarda Zub-Zdanowicza (ps. „Fala” i „Ząb”), który wyprowadził je na koniach w pełnym uzbrojeniu z Polski do Czechosłowacji, a potem na Zachód. Natomiast teściem p. Elżbiety był znany publicysta i polityk endecki Wojciech Wasiutyński. Pochodząc z rodziny o tak pięknych tradycjach politycznych, p. Elżbieta zdecydowała się nawet opuścić swój dom na rok i udać się z pomocą do pracy w Biurze *Solidarności* w Brukseli. Była typowym działaczem, który przedkładał bieżące działania nad rozwijaniem myśli politycznej, toteż nie bardzo była zachwycona moją polityką pisania książek.

Prócz założycieli i wymienionych powyżej prezesów i referentów, do bardziej ofiarnych działaczy *Studium* zaliczyłbym mjr. Edmunda Banasikowskiego, Hannę Bienias-Leja, inż. Stanisława Bukowińskiego, Ewę Gierat, inż. Stanisława Jaworskiego, płk. Aleksandra Kajkowskiego (delegata Rządu Londyńskiego na St. Zjednoczone), Józefa Kleszczyńskiego, mgr. Romana Koperskiego, Stefana Kowalika, Jerzego Krzyżanowskiego, Kazimierza Łukomskiego (wiceprezesa KPA), inż. Stanisława Michałowskiego, prof. Danutę Mostwin (pissarkę), dr. Zygmunta Wasiutyńskiego, i wielu innych, zwłaszcza tych, którzy działali ze mną w Komitecie Planowania *Studium*, a wymienieni są w dalszej części. Z młodszego pokolenia wyróżniali się w *STUDIUM* Irka Dubicka-Morawska, Piotr Chądzyński (informatyk) i Basia Przybylska oraz Basia Kwaśnik (z *Syracuse University*), a także Andre Błaszczński, późniejszy szef KPA na stan Connecticut. W swym szczycie *Studium* miało kilkuset członków płacących składki, co było wiele jak na stosunki panujące wśród Polonii Amerykańskiej.

### **Komitet Planowania i Biblioteka *Studium***

W Polsce miałem okazję do rozwinięcia swoich zdolności i ambicji organizacyjnych, bowiem kierowałem organizacjami biznesu, dużymi zespołami projektowymi, instytucją administracji oraz związkiem sportowym. Z tego do-